

MALINA PRZEŚLUGA

ANIMARIUM

TOM.
I

WYBRAŃCY UKRYTEGO ŚWIATA

dwie siostry

MALINA PRZEŚLUGA
ANIMARIUM



WYBRAŃCY UKRYTEGO ŚWIATA



Wydawnictwo Dwie Siostry
Warszawa 2026

Dla mojego Leo

1

DESZCZ nie padał od dwóch tygodni i ziemia na szczycie klifu stała się spękana i zbita. Oku trudno było przebić jej powierzchnię. Jednak pragnienie, by wyjść na zewnątrz, rosło w nim z każdym dniem i dziś zaciśnięte powieki naparły na glebę ze wszystkich gromadzonych latami sił. Oko nie wiedziało, który z dwóch światów ujrzy, kiedy wreszcie wyjdzie na światło. Może nawet w ogóle nie wiedziało o ich istnieniu. Chciało się tylko wydostać. Po trzystu latach w ciemnościach teraz nie pragnęło niczego więcej poza tym, by w końcu zacząć Widzieć.

Kolejny raz z mocą natarło na glebę. Tym razem musi się udać! Ziemia nareszcie uległa, oko przebiło się przez jej warstwy. Na zamknięte powieki padły promienie słońca.

Przypominałoby to poród, gdyby nie cisza. Ziemia bezgłośnie wydała oko na świat, a właściwie na oba światy. Oko zamrugało i rozejrzało się oszołomione. Z każdej strony otaczały je kamienie. Gapiły się wrogo, a jeden z większych zadudnił:

– Bezczelstwo tak wyrosnąć bez pytania!

– Głazebiusz mu nastuka! – zagrzemiał inny.
– Huzia, wpadnę mu w oko! – zapiszczało ziarnko piasku.
Ale oko wiedziało, że nawet go nie dotkną. Nagle poczuło tęsknotę. I choć nie miało pojęcia, do kogo tęskni, czuło, że to taki rodzaj tęsknoty, przez którą się usycha.



FLORENTYNA siedziała przy biurku i zastanawiała się nad kolorem pisaka. Szykowała swój wakacyjny grafik i nie mogła się zdecydować, czy lekcje włoskiego zapisać na czerwono, a kurs zielarski na niebiesko, czy odwrotnie. Najlepszy byłby zielony, ale użyła go już do jogi w parku. Wakacje zaczynały się jutro, a Florka miała wobec nich ambitne plany i nie chciała stracić ani jednego dnia. Od dawna układała w brudnopisie harmonogram na każdy tydzień, by pogodzić wszystkie lekcje, kursy i warsztaty, w jakich zamierzała uczestniczyć. Dziś był dzień, na który czekała. Dziś zaznaczy to wszystko różnymi kolorami w swoim nowym kalendarzu. Florentyna niewiele rzeczy lubiła tak bardzo jak wielobarwne notatki.

Nagły podmuch wiatru otworzył okno. Do pokoju wleciał liść i, tak jak poprzednie trzy, wylądował na blacie biurka tuż przed nosem Florki.

– No uwzięło się to drzewo – mruknęła dziewczynka i po raz czwarty zamknęła okno.

Pogoda była piękna i Florka chętnie posiedziałyby przy otwartym, ale wpadające do pokoju liście działały jej na nerwy. Flora nie lubiła, gdy rzeczy działy się poza jej kontrolą. Mimo to humor jej dopisywał. Przed nią kilka tygodni luzu, będzie mogła robić, co chce, na własnych zasadach. Miała nadzieję, że uda jej zrealizować każdy podpunkt planu. Język włoski, kurs zielarski, joga, podstawy programowania, warsztaty aktorskie, akrobatyka online, szkoła gotowania i kurs pierwszej pomocy – to na początek. A pewnie po drodze wpadnie coś jeszcze. Ograniczał ją tylko czas, bo właściwie wszystkie te zajęcia były albo darmowe, albo istniały wyłącznie w głowie Florki, która świetnie posługiwała się wyszukiwarką Google, więc samodzielne opracowanie kursu gotowania było dla niej tylko kwestią organizacji. Gdyby nie tata i jego pomysł, by jechać nad morze... Dwa tygodnie zmarnowane na wycieczki rowerowe i plażowanie.

Przy godzinie dziewiętej wpisała czerwonym pisakiem „lekcja włoskiego” i zamknęła kalendarz. Założyła kosmyk kręconych włosów za ucho i przetręła pot z czoła. W pokoju było duszno,

więc znów otworzyła okno. Jak na zawołanie do wnętrza wleciał duży klonowy liść i łagodnie opadł na jej stopy.

„Jest czerwiec, a tamto drzewo już gubi liście – pomyślała Florka. – Musi być chore. To chyba klon... Czy jawor?” – zastanowiła się i szybko uznała, że dobrym pomysłem byłoby zrobić sobie kilka lekcji rozpoznawania gatunków drzew.

Trwał wieczór najkrótszej nocy w roku. Za oknem było jeszcze zupełnie jasno, jakby dzień zapomniał się skończyć. Florka rozejrzała się po wysprzątanym pokoju. Świetnie jest zacząć wakacje w ładzie i porządku. Kąt za drzwiami ominęła wzrokiem. Stała tam mocno przykurzona konstrukcja z Lego należąca do Leo. Flora nie wiedziała co to, jakaś baza kosmiczna czy laboratorium. Zajmowała powierzchnię całego stolika. Jakby Leo nie mógł budować baz kosmicznych we własnym domu... No dobra, szczerze mówiąc, faktycznie nie mógł. Jego mama nie akceptowała plastikowych zabawek. Biedny Leo, gdyby nie Florentyna, w wieku jedenastu lat wciąż byłby skazany na drewniane klocki.

Flora i Leo od lat mieli cichy układ. Florka na urodzinowe prezenty życzyła sobie dokładnie tego, co podpowiedział jej Leo – czyli zestawów Lego, zdalnie sterowanych pająków, wyrzutni plazmy i tym podobnych dziwactw, Leo zaś na urodziny czy święta bardzo pragnął dostawać książki o wyplataniu makram, atlasy zwierząt morskich bądź maty do ćwiczeń. Układ ten sprawdzał się bez zarzutu, bo mama Leo żyła w przekonaniu,

że jej syn bawi się ekosznurkiem i kamykami, natomiast tatę Florki uspokajała świadomość, że jego nazbyt dojrzała córka używa czasami zabawek.

Denerwujące było tylko to, że gotowy obiekt zbudowany z Lego nie mógł zostać po zabawie schowany do pudełka, tylko musiał trwać wiele miesięcy na posterunku, żeby Leo i tata Florki mogli się nim nacieszyć. Co prawda, gdy go wcześniej razem składali, Florentyna mogła w spokoju czytać lub malować z mamą Leo. Tylko że potem musiała tolerować bazy kosmiczne we własnym pokoju. Ale, jak to się mówi, coś za coś.

„Ciekawe, czy Leo już dojechał” – pomyślała dziewczynka i uśmiechnęła się na myśl o przyjacielu.



NIKTÓRZY są nudni od urodzenia, a inni od urodzenia są znudzeni...” – rozmyślał Leo, siedząc na tylnym siedzeniu wiekowego Fiata Cinquecento. Sam zdecydowanie zaliczał siebie do tej drugiej grupy. Jakby ciągle czekał, aż w jego życiu wydarzy się coś niesamowitego. Tylko że nic takiego się

nie wydarzało. I nie mógł nic poradzić na to, że nudził się prawie zawsze i prawie wszędzie. Chyba tylko towarzystwo Florentyny go nie nużyło. To niezwykle, że tych dwoje tak różnych od siebie ludzi tak świetnie się ze sobą czuło. Flora, osoba zawsze poukładana i rozsądna, która smaruje się kremem z filtrem przed każdym wyjściem z domu, na noc wyjmując wtyczki z kontaktów, by oszczędzać energię, i mówi „tę książkę”, a nie „tą książkę”. I Leo, który musiał bardzo się starać, żeby bez wiercenia się wytrwać w windzie albo przeczytać ze zrozumieniem rozdział książki.

Leo był chłopcem, który bez namysłu sprawdzał, czy napotkany na ulicy pies gryzie, zbaczał z każdej leśnej ścieżki, bo w krzakach na pewno coś się kryje, a im mniej jakaś rzecz wyglądała na jadalną, tym chętniej sprawdzał, jak smakuje. Jednym słowem, Florę i Leo różniło niemal wszystko. Znali się od urodzenia, a urodzili się w tym samym miejscu i o tej samej porze. Leżeli w jednej szpitalnej sali już chwilę po porodzie. Później okazało się, że ich rodzice kupili mieszkania w tej samej kamienicy i na tym samym piętrze. Flora i Leo razem uczyli się raczkować i chodzić, wspólnie ślinili te same zabawki, a gdy tylko zaczęli dosięgać klamek, drzwi wejściowe ich mieszkań musiały być stale otwarte. Od zawsze byli blisko, ale zbliżyli się jeszcze bardziej, gdy tata Leo odszedł, a mama Florki zachorowała i umarła. W tamtym czasie czuli, że gdyby nie mieli siebie na-

wzajem, rozpadliby się ze smutku. Jedno wspierało drugie i tak, wspólnymi siłami, przetrwali najsmutniejszy okres ich życia.

Leo nie pamiętał dnia bez Florki, ale też nie pamiętał dnia bez kłótni z Florą. A niestety ostatnio tych kłótni było jakoś więcej. Mama Leo stwierdziła, że to naturalne, bo z wiekiem oddalają się od siebie, zmieniają się im zainteresowania i potrzeby. Leo nie wiedział jeszcze, co o tym myśleć. Bo choć Florentyna potrafiła go wkurzyć jak nikt inny, to nie wyobrażał sobie, że mogliby przestać spędzać ze sobą czas.



Samochód zahamował gwałtownie i chłopcem szarpnęło, ale nie zwrócił na to uwagi. Był przyzwyczajony. Mama Leo miała prawo jazdy od pięciu lat i nadal nie umiała dobrze jeździć. Potrafiła za to bardzo fantazyjnie przeklinać pod nosem. Leo odkrył to już dawno, choć ona sama wciąż myślała, że nie słychać, jak szepcze, co by któremu kierowcy wyrwała, a co i gdzie włożyła. Mama Leo miała na imię Czajka i była rzeźbiarką, przy czym ani jedno, ani drugie nie było prawdą. Bo naprawdę mama Leo nazywała się Czesława, ale wiedziała o tym tylko ona, Leo i kilka pań w urzędach. Prawdziwe imię mamy było tajemnicą tak wielką, że gdyby wyszło na jaw, ktoś straciłby życie, tego Leo był pewny. Nie do końca prawdą było też, że Czajka jest

rzeźbiarką, bo w swojej pracy nie używała materiałów ani narzędzi rzeźbiarskich i prawdopodobnie nie wiedziałaby nawet, jak się trzyma dłuto. Jej rzeźby były właściwie instalacjami: dziwnymi, rozchytanymi konstrukcjami z połączonych drutem rupieci. Składały się na nie fragmenty maszyn, bębny pralek, betoniarki, grabie, garnki, tłumiki i inne wygrzebane na złomowisku graty poukładane jeden na drugim, z podocze- pianymi rączkami i nóżkami lalek, korpusami manekinów, a na pewnym etapie twórczości także wypchanymi zwierzęta- mi (tego etapu Czajka dziś się wstydzi). Instalacje te mama Leo prezentowała na wystawach, sprzedawała galeriom, róż- nym firmom i prywatnym entuzjastom złomu. Nazywała swoją sztukę „lepszym życiem przedmiotów”. Leo nazywał ją „snem wariata”.

Teraz Czajka jechała na plener artystyczny, gdzie zamierzała dać lepsze życie dwudziestu wadliwym chińskim szlifierkom kątowym, które wypełniały cały bagażnik. Leo zaś wybierał się na obóz karate i choć właśnie parkowali przed bramą wjazdową, nadal nie mógł w to uwierzyć.

– Nie mogę uwierzyć, że wysyłasz mnie na obóz karate – mruknął.

– A ja nie mogę uwierzyć, że znowu o tym rozmawiamy – wes- tchnęła mama. – Ale dobra, powtórzę czterdziesty raz: sorry. Naprawdę przepraszam. To nie...



– To nie twoja wina, że na obóz detektywistyczny nie było chętnych i w ostatniej chwili go odwołali – dokończył Leo.

– Też nie mogę tego zrozumieć. Kto nie chciałby przez cały tydzień podążać śladami zbrodni? W dodatku nad morzem? – Mama zerknęła w lusterko i posłała synkowi uśmiech. – Gdzie są te wszystkie dedukujące dzieciaki? Za moich czasów rosły na każdym drzewie!

– Już wolałbym jechać z tobą na ten plener... – stwierdził Leo i złapał mocno za uchwyt przy drzwiach, bo mama parkowała tyłem.

– Nie wolałbyś, chyba że lubisz towarzystwo dziesięciu czterdziestoletnich babek, masaż gongami i chińskie szlifierki – odparła Czajka i zgasiła silnik. – Wiem, że nie lubisz. Wsiadka.

Leo odpiął pas, ale zamiast wysiąść, siedział bez ruchu i patrzył przez okno. Zaparkowali tuż przy drewnianej bramie, nad którą wisiał namalowany czarną farbą napis: „Shotokan Gdynia 2024 wita was!”. Za bramą wśród sosen biegało kilku chłopców. Rzucali w siebie szyszkami, krzycząc przy tym japońskie słowa, których Leo nie znał.

– Nawet nie wiem, co to znaczy „shotokan” – zauważył.

– Że się gibiesz w określonym stylu. – Mama przesiadła się z fotela kierowcy do tyłu i chwyciła Leo za rękę. – Synek, co roku jeździsz ze mną na te plenery i co roku umierasz z nudów... Będzie fajnie, jak spędzisz trochę czasu z dziećmi w twoim wieku.

– Na obozie karate, którego nigdy nie zamierzałem trenować – dokończył gorzko Leo.

– To się może przydać w pracy detektywa, nie sądzisz? – zauważyła mama i dodała „Haaa-dzia!”, wykonując dłońmi gest, jakby cięła powietrze.

W tej samej chwili na szybie auta rozpląszczyły się dwie ubrudzone twarze. Chłopcy przestali okładać się szyszkami i teraz robili głupie miny.

– Tak, mam, myślę, że to będzie bardzo pomocne – westchnął Leo i otworzył drzwi.



Wypakowanie rzeczy z auta i pożegnanie nie zajęło im wiele czasu. Leo wiedział, że mama w takich sytuacjach może się rozplakać, a nawet – o zgrozo – chceć go wziąć na ręce, dlatego załatwili to szybko. „To tylko tydzień, dam radę” – myślał Leo, machając odjeżdżającej Czajce, która w ostatniej chwili ominęła słupek bramy.

Gdy tylko zniknęła, podszedł do niego jeden z chłopaków. Miał ciemne, potargane włosy z grzywką wpadającą do oczu, a na jego policzku i brodzie widniały dwa pokaźne strupki, pewnie ślady po niedawnych upadkach.

– Jestem Roman, a ty? – spytał, szczerząc wystające zęby.

– Leo – przedstawił się Leo.
– Nie ma takiego imienia „Leo” – zauważył Roman.
– Leopold – mruknął niechętnie Leo. Nie lubił pełnej wersji swojego imienia, kojarzyła mu się ze starym dziadkiem.
– Poldek! – krzyknął Roman na cały głos.
– Wolę Leo.
– Poldek! Ła ha, ha, ha, ha! Poldek! – Roman aż trząsał się ze śmiechu, jakby to staroświeckie zdrobnienie było najlepszym żartem, jaki usłyszał w swoim niedługim życiu. Nagle zatrzymał się i ściągnął brwi. – Ej, a co się rymuje z Poldek?

Leo chciał powiedzieć, że nic, nic nie rymuje się ze słowem „Poldek” i że w ogóle to słowo powinno być prawnie zakazane. Ale nie zdążył, bo Roman już biegał wokół niego, wymachując rękami i wrzeszcząc:

– Poldek pod kołdrę upadł na mordę!

Gdyby to zdanie miało jakikolwiek sens lub choć odrobinę wdzięku, być może Leo by się powstrzymał. Ale nie miało. I choć tak naprawdę wcale nie chciał, jego noga sama, bez uprzedzenia wysunęła się kawałeczek do przodu akurat w momencie, gdy Roman kończył trzecie okrążenie... Sekundę później Roman leżał jak długi na piachu, a do jego kolekcji skaleczeń dołączyło nowe, na kolanie. Leo natychmiast pomyślał, że źle zaczął tę znajomość i pewnie nawet pomógłby koledze wstać i go przeprosił, gdyby Roman nie kochał karate. Ale Roman karate kochał, co więcej,

uważał, że w karate wymiata. W końcu od miesiąca chodził na lekcje. A że do tej pory nie miał okazji wykorzystać swoich umiejętności, podstawiona przez Leo noga ucieszyła go jak prezent na Gwiazdkę. Leo wyciągnął rękę, chcąc pomóc mu wstać. Roman potraktował to jako zaproszenie do walki, a ponieważ miesiąc lekcji karate to więcej niż zero lekcji karate, w ułamku sekundy Leo leżał na ziemi, a Roman stał nad nim i szczyrzył wystające zęby.

– To będą dla ciebie wakacje życia, Poldek! – rzucił z góry i pobiegł w sobie tylko znanym kierunku.

„To będzie bardzo długi tydzień” – pomyślał Leo i poślinił zdarty łokieć.



LORKA, cho na kolację! – zawołał tata, odcedzając makaron.

Flora weszła do kuchni i wyjęła z kredensu dwa duże talerze, a z szuflady widelce.

– Z czym dzisiaj? – spytała, próbując wywąchać, co będą jedli. Kuchnia włoska była ich ulubioną, a tata Flory z makaronów mógłby robić doktorat, jak sam lubił powtarzać.

– Z pesto i gorgonzolą, lubisz? – zapytał tata i pacnął do garnka sporą porcję bazyliowej mazi. –

– Mama lubiła – powiedziała cicho Flora.

Tata uśmiechnął się lekko.

– To prawda. Gdyby mogła, jadłaby go codziennie.

– Popijając maślanką – dodała Florka i oboje uśmiechnęli się na to wspomnienie.

Tata nałożył dwie solidne porcje makaronu, udekorował pomidorkami cherry i zamierzał zabrać się do jedzenia, ale Florentyna przypomniała mu, że muszą jeszcze umyć ręce. Pomyślał, że jego córka jest zdecydowanie zbyt dojrzała jak na swoje jedenaście lat, i zastanawiając się, czy to aby nie jego wina, podreptał za nią do łazienki.

Tata Florki był psychoterapeutą. Jeden pokój ich mieszkania był przeznaczony na gabinet, w którym codziennie przyjmował pacjentów. Florka przywykła do widywania smutnych lub zaleknionych ludzi siedzących w przedpokoju na małej żółtej kanapie, pełniącej rolę poczekalni, i nauczyła się traktować ich jak niewidzialnych, gdy wychodzili po sesji ze łzami w oczach. Kiedy była malutka, myślała czasem, że tato robi im tam w pokoju krzywdę, mówi niemiłe rzeczy albo na nich krzyczy. Ale oni często dziękowali mu zapłakani w drzwiach i regularnie do niego wracali. W końcu zrozumiała, że tata im pomaga, a płacz bywa po prostu potrzebny.

Tata Florki miał na imię Adam i było to jego prawdziwe imię, które w dodatku lubił. Lubiał też swoją pracę, a w wolnych chwilach lubił robić zdjęcia. Zresztą Czajka od czasu do czasu uczyła go zasad kompozycji i kadrowania. Tata Flory i mama Leo przyjaźnili się, a dzieci liczyły, że przerodzi się to w coś więcej. Póki co jednak nic nie wskazywało na to, by zamiast rozmowy o fotografii mieli zacząć się całować.



– Co będziesz porabiać w pierwszy dzień wakacji? – spytał tata, gdy usiedli do jedzenia.

Flora zamierzała odpowiedzieć, że o dziewiątej rano ma pierwszą lekcję włoskiego, ale w tym momencie popatrzyła na swój talerz.

– Tato, to żart? – zapytała zdziwiona, bo pomiędzy piórek makaronu wystawały gdzieś liście.

– O czym ty... – zaczął tata i spojrzał na widelec, który Flora trzymała w ręku. Leżał na nim liść dębu. – Florka, czy zamierzasz to zjeść?

– A według ciebie powinnam? Sam mi to wrzuciłeś! – zawołała dziewczynka. – Jeśli to żart, to nieśmieszny.

Flora wyjęła z obu talerzy dziewięć liści pochodzących z kilku różnych drzew. Na jednym z nich dostrzegła ledwo czytelny

napis, jakby koślawe litery: „WIL”, a może „WIT”... Pewnie to tylko dziwne żyłkowanie liścia albo robota jakiegoś głodnego pasożyta.

– Flora, czemu według ciebie miałbym dosypywać nam do jedzenia leśną ściółkę? – zdziwił się tata.

– A może zrobiłeś to, no wiesz... niechcący? – zasugerowała delikatnie Florentyna.

Było już w ich życiu tak, niedługo po śmierci mamy, że tato zawieszał się jak przeciążony komputer. Florka dostawała wtedy herbatę z solą, zamiast kurtki tata wręczał jej szlafrok, mył śmieci, a do kosza wyrzucał naczynia, na szczoteczkę do zębów nakładał mydło w płynie, a raz wyprał w pralce jej zeszyty. Ale to było parę ładnych lat temu i już od bardzo dawna nic nie wskazywało, by tacie nadal zawieszał się system. Spochmurniał teraz nagle i zamyślił się.

– Tak sądzisz? – wymamrotał po chwili. – Może rzeczywiście powinienem znów umówić się do doktora Biegusa...

Doktor Biegus był kolegą taty z pracy, biegłym psychiatrą. Flora popatrzyła na ojca. Zbladł i wgapiał się tępo w liście po-
wtykane w makaron. Zrobiło jej się go żal.

– Nabrałam cię! – parsknęła nagle śmiechem. – Myślałam, że to będzie zabawne, tatusiu, przepraszam. Głupi żart przed wakacjami.

Na twarzy Adama powoli rozkwitł uśmiech.

– Dziwny żart – przyznał z ulgą. – Ale oboje chyba jesteśmy przemęczeni. Na szczęście już za tydzień czeka nas wypas i wywczas. Będziemy żreć lody, leżeć na leżakach z brzuchami do góry i gapić się na wodę!

– Super – stwierdziła Flora z udawanym entuzjazmem. Ten wywczas, podczas którego nie będzie mogła robić niczego istotnego, traktowała jak zło konieczne. Ale teraz wiedziała na pewno, że jej tata bardzo tego potrzebuje. Zastanawiała się tylko, kiedy znalazł czas, by powrzucać jej do talerza te liście? I czy ma gdzieś zapisany numer do doktora Biegusa...



INSTRUKTOR na obozie karate miał na imię Jędrzej. Mimo że dobiegał pięćdziesiątki i odznaczał się pokaźną łysiną oraz jeszcze pokaźniejszym brzuszkiem, bardzo zależało mu, by wychowankowie traktowali go jak rówieśnika. Nawet na jego koszulce widniał napis „MŁODOŚĆ RULEZ”. Zdradzał go jednak sposób mówienia, właściwy dla młodzieży, ale z końca poprzedniego wieku.

– Elo, elo, ziomy! Witamy na pierwszym turnusie obozu Karate Shotokan. Konnichiwa! – zakrzyknął energicznie sensei Jędrzej.

– Konnichiwa, sensei! – zawołała jednym chórem piętnastka obozowiczów. Tylko jeden, Leo, nic nie zawołał, bo jeszcze nie znał karateckich zwyczajów.

– Co powinniście wiedzieć o karate? Na pewno to, że jest super mega cool! – z błyskiem w oku zaczął przemowę sensei Jędrzej. – To japońska sztuka walki, która pomaga rozwijać ciało i umysł. Będziecie się tu uczyć, ziomusie, jak używać rąk i nóg do obrony i ataku, a także jak być zdyscyplinowanym, odważnym i szanować innych. Bo przecież nie chodzi o to, by spuszczać łomot, ani żadne teges-szmegeś, wiadomix, nie? Zaczniemy od podstawowych technik: uderzeń, kopnięć, bloków i prostych kata, tak że będzie niezła jazda. Brzmi gites, co nie?

– Tak, sensei! – odkrzyknęło kilku chłopców, reszta chyba tłumiła chichot.

– No – kontynuował wyraźnie z siebie zadowolony Jędrzej. – Ale to jutro. Bo teraz już wieczór i czeka nas wypasione ognisko zapoznawcze. W końcu dziś jest co?

– Wtorek, sensei! – zakrzyknął Roman.

– Dziś jest Noc Kupały, najkrótsza noc w roku – odparł instruktor. – Wspólnie przygotujemy ognicho, a potem będziemy sobie opowiadać przerażające historie! Wyczes, co nie?

– Wyczes super gites cool, sensei! – zawołał Leo z udawaną powagą. Nie mógł się powstrzymać. Chłopcy wybuchli śmiechem, a Jędrzej zgromił go wzrokiem.

– Ty jak masz na imię, bratku? – spytał.

– To jest Poldek, sensei – uprzedził odpowiedź Roman.

– A więc, drogi Poldusiu – powiedział ciepło instruktor, a kilku chłopców parsknęło śmiechem. – Bądź tak uprzejmy i weź tamtą szmatę, a potem umyj dokładnie wszystkie stoły i ławy, przy których będziemy jeść. Reszta chłopców: podzielcie się na dwie grupy, niech jedni pójdą nazbierać drewna na ognisko, a drudzy naostrzą kije do kielbasek. Zaraz dostaniecie koziki. No! Będzie mega fajnie, ziomale! Rozejść się.



Część chłopców zniknęła między drzewami w poszukiwaniu suchych gałęzi i podpałki. Pozostali rozsiedli się na pniakach pełniących rolę krzesłek i zaczęli z oddaniem ostrzyć leszczynowe kije. Leo tymczasem walczył z odruchem wymiotnym, bowiem szmata do przecierania stołów prana była prawdopodobnie w dniu jego narodzin i śmierdziała jak wnętrze piekiel. Podpadł instruktorowi i to zaraz pierwszego dnia. Byłby zdziwiony, gdyby było inaczej, bo z automatu podpadał każdemu, kto miał być jego przełożonym. Tak już miał – kiedy musiał

podporządkować się zasadom, z którymi nie było mu po drodze, drwił i stroił żarty. Często za to obrywał, ale wiedział już, że to silniejsze od niego. I teraz też prawie pogodził się z faktem, że zamiast strugać kije superfajnym szwajcarskim scyzorykiem, musi machać cuchnącą szmatą i zdrapywać stary wosk z blatów. Zastanawiał się, czy na obozie detektywistycznym też by tak skończył, i doszedł do wniosku, że tak. Sensei Jędrzej przechadzał się po placu niczym kogut po podwórku, pokazywał, jak układać drewno w stosie i jak bezpiecznie używać nożyka: „Od siebie będzie gites”. Tymczasem nad ich głowami zebrały się gęste, stalowoszare chmury, a z nieba spadło parę ciężkich kropel.

– Pada – zauważył Leo.

Sensei Jędrzej uśmiechnął się kpiąco.

– Biedny Polduś jest z cukru – rzucił, a paru chłopców się roześmiało.

– Serio, będzie burza – stwierdził Leo i jakby w odpowiedzi zagrzmiało.

– Karatecy nie robią problemów z jakiegoś deszczyku – skwitował instruktor i upchnął w stosie drewna kilka szyszek.

– Karatecy nie, ale ognisko może – mruknął pod nosem Leo i wrócił do zdrapywania paznokciem wosku z blatu ławy.

Sensei Jędrzej prychnął pogardliwie, ukucnął przy ułożonym stosie i wyjął z kieszeni paczkę zapalek.

– Chłopcy – zaczął uroczyście – mamy tu, na Shotokan, piękną tradycję. Każdy z was ma szansę otrzymać mega wyróżnienie, jakim będzie prawo do rozpalenia ognia. Ogień to życie. Ogień to potęga. A wy, o ile wykażecie się pokorą i talentem podczas codziennych treningów, dostąpicie zaszczytu wzniesienia go... jedną zapalką. Jedną zapalką! Jedną zapalką! Jedną zapalką! – Jędrzej zaintonował okrzyk i zachęcił chłopców, by go podjęli.

Potarł zapalką o brzeg pudełka i triumfalnie uniósł ją do góry. W tej samej chwili zgasła ją spora kropla deszczu. Sensei uśmiechnął się krzywo i odpalił drugą zapalkę. Ją również ugasła rozkręcająca się ulewa. Podobnie stało się z trzecią. Zgromadzeni wokół chłopcy coraz mniej pewnie skandowali „Jedną zapalką, jedną zapalką!”, a gdy sensei odpalał piątą, zostało już tylko dwóch, bo reszta schowała się przed ulewnym deszczem pod wiatą. Kompletnie mokry instruktor w końcu też się poddał i schronił pod daszkiem.

– Dzisiaj urządzimy świeczkowisko – wycedził, patrząc z niechęcią na Leo, jakby to była jego wina, że nad obozem rozpuściła się burza.



Chwilę później młodzi karatecy tłoczyli się pod lichym daszkiem obozowej wiaty, kuląc się z zimna wokół pięciu świeczek

robiących za powitalne ognisko. Śmierdziało starą szmatą, z każdej strony otaczała ich ściana deszczu, a u stóp pomału tworzyło się bajoro. Było zimno i waliły pioruny. Każdy normalny opiekun już dawno zarządziłby powrót do suchego budynku, ale sensei Jędrzej uparł się, że to świetny moment, by opowiadać przerażające historie i plumkać przy tym na rozstrojonej gitarze.

– ...A wtedy spojrzał w dół i zobaczył, że to, co za nim szło, to nie był żaden kot, tylko mała, biała trupia rączka! Koniec! – zakończył dziwną, ponurą opowiastkę, a następnie przystawił sobie świeczkę do podbródka. Instruktor chciał zapewne uzyskać efekt upiornie podświetlonej twarzy, lecz zamiast tego podpalił sobie brodę. Jasny ogień nagle wystrzelił w górę, radośnie karmiąc się zarostem senseja Jędrzeja, który wydzierał się, kręcił w kółko i machał rękami, podsycając tylko płomienie. Pewnie wypadłby na deszcz, gdyby ten złośliwie nie ustał. Ogień zgasł z nagłym sykiem, gdy na twarzy instruktora wylądowała śmierdząca szmata. Leo był dumny, że go ugasił. Kiedy jednak szmata zsunęła się, twarz senseja bynajmniej nie wyrażała zadowolenia. Czerwona, mokra i cuchnąca jak wnętrze piekiel nachyliła się nad chłopcem.

– Ty! – warknął wściekle instruktor. – Zamiast stroić sobie żarty z mistrza, nauczysz się szacunku dla starszych.

– Ale przecież ja pana zgasiłem... – wyjąkał zdziwiony Leo.

– Milcz! – wrzasnął Jędrzej, a kilku chłopców poblądło. – Dam ci odpowiedzialne zadanie. Nauczysz się dyscypliny. Idź i zabezpiecz drewno ogniskowe przed deszczem. Na jutrzejsze ognisko ma być suchutkie – wycodził przez zęby.

– Tamto drewno, na które od godziny leje...? – dopytał niepewnie Leo.

– Właśnie tamto!

– Ale ono jest mokre...

– Rzeczy pozornie bez sensu zyskują głęboki sens z czasem – rzekł tajemniczo sensei i przejechał dłonią po zwęglonych resztkach brody. – No, Poldusiu. Galopem.

Deszcz lał teraz z siłą wodospadu. Najdłuższy dzień roku nie zdążył jeszcze się skończyć, ale przygnieciony granatowymi chmurami nieźle udawał noc. Leo czuł zimno na całym ciele i prawie nic nie widział w strugach wody, zdołał jednak przykryć kompletnie mokry stos drewna kompletnie mokrym brezentem. Miał właśnie iść pod wiatę, ale gdy spojrzał na niewyraźne sylwetki widoczne w lichym świetle świec, całym sobą poczuł, że nie chce tam wracać. I złość. Chciał przecież pomóc, ugasił senseja. I co go za to spotkało? niesprawiedliwość i kara. Leo miał dość tego miejsca i tych ludzi, a minął raptem jeden dzień.

„Nie wrócę tam” – pomyślał. „Przynajmniej nie od razu. Niech się pomartwią”.

Postanowił przejść się po okolicy. Nie obawiał się burzy, wiedział, że należy unikać samotnych drzew i otwartych przestrzeni. Ze wszystkich rzeczy na świecie najbardziej mogła mu teraz poprawić humor wyprawa w nieznane. Dlatego mimo deszczu i chłodu, a przede wszystkim mimo wyraźnego zakazu Leo minął bramę obozu i ruszył leśną ścieżką przed siebie.

Dróżka wiodła w górę. Leo wiedział, że prowadzi do rezerwatu przyrody Kępa Redłowska. Bywał tu z Czajką wiele razy, spacer z Gdyni do Orłowa klifami nad plażą, a potem powrót dołem był ich stałym punktem programu. Nigdy jednak nie wędrował wtedy podczas burzy. Gliniasta ścieżka była śliska i nierówna, gęsto usiana wystającymi kamieniami i korzeniami sosen, często zwężała się i niebezpiecznie zbliżała do krawędzi klifu. W dole huczał Bałtyk, olbrzymie białe grzywy fal rozbiły się wściekle o brzeg. Niebo przybrało granatowo-szary odcień, a błyskawice raz na kilka sekund rozjaśniały je jak flesze aparatu. Do tego dął silny wiatr, który utrudniał marsz i sprawiał, że deszcz zaczął niemal poziomo. Leo szybko doszedł do wniosku, że spacer w taką pogodę nie był najlepszym z jego pomysłów. Dygotał z zimna, mokre buty chłupotały, gdy ślizgał się na kamieniach. Pioruny biły coraz bliżej.

„Mama by mnie zabiła, gdyby mnie teraz widziała” – pomyślał i postanowił wracać. Spojrzał ostatni raz w stronę morza, ale kiedy już miał zawrócić, w oddali na ścieżce zamigotało wy-

rażne, niebiesko-zielone światło. Nie, nie zamigotało – zaczęło pulsować rytmicznie, jak świetlik, tyle że wielkości żarówki. Leo zmrużył oczy, wpatrując się w jasny punkt.

– Co to może być? – mruknął i od razu uznał, że nie będzie sobą, jeśli tego nie sprawdzi.

Światło pulsowało w odległości może pięćdziesięciu metrów, tuż przed zakrętem ścieżki. Świeciło na wysokości kolan Leo, na przemian rozjaśniało się chłodnym zielonkawo-morskim blaskiem i gasło, jakby w rytmie oddechu. Gdy Leo skrócił dystans o połowę, kula światła uniosła się nieznacznie i rozzarzyła mocniej, a przez huk burzy do uszu chłopca przebił się delikatny odgłos: niskie, ciepłe nuty, trochę przypominające dźwięki tybetańskich gongów i mis. Leo pomyślał, że wygląda, jakby światło ucieszyło się na jego widok, jakby wołało go do siebie. Kiedy zbliżył się wystarczająco, by dostrzec szczegóły, odkrył, że pulsujący blask wydobywa się z kielicha kwiatu przedziwnej rośliny rosnącej przy samym skraju urwiska. Świecący środek gęsto otaczały podłużne, zielonkawe płatki, które otwierały się i zamykały rytmicznie. Kwiat wyrastał z grubej łodygi otoczonej rozetą mięsistych liści o pierzastym pokroju, które na zmianę zwijały się i prostowały, niczym chcące coś uchwycić dłonie o smukłych, długich palcach. Ruch liści i płatków kwiatu był nienaturalny, nie drżały pod naporem ulewnego deszczu, raczej kołysały się wbrew grawitacji jak wodorosty. Wciąż słychać było,

mimo huku wiatru, ulewy i fal, łagodne dźwięki muzyki, które płynęły z jego wnętrza. Najbardziej niezwykle było jednak to, że kwiat zarazem wydzieliał niebiesko-zielone światło i jakby zasysał do wnętrza ciemność. Leo wpatrywał się w nie jak zahipnotyzowany. Nie bacząc na stromy brzeg klifu, zbliżył się do rośliny i ukucnął, by zajrzeć do środka. Zrobił tylko jeden krok, ale postawił stopę tuż przy krawędzi. Piasek spod jego buta osunął się i chłopiec stracił równowagę.

Gdy leciał w dół klifu, ostatnią rzeczą, jaką zobaczył, było świecące na zielono-niebiesko, wytrzeszczone oko. Patrzyło na niego. Kiedy Leo zniknął w ciemnościach na dole i echo jego krzyku ustało, kwiat opuścił kielich, a jego światło przygasło.

© Copyright by Malina Prześluga-Delimata, 2026
© Copyright for the Polish edition by Wydawnictwo Dwie Siostry, 2026.


ISBN 978-83-8150-725-7
Wydanie I

wydawnictwodwiesiostry.pl

ilustracje i projekt okładki: Urszula Gireń
redakcja: Dominika Cieśla-Szymańska
korekta: Jolanta Gomółka
skład i przygotowanie do druku: Luiza Grabowska
druk: Białostockie Zakłady Graficzne S.A.

Wydawnictwo Dwie Siostry sp. z o.o.
ul. Stefana Jaracza 2
00-378 Warszawa

Biblioteki, szkoły, przedszkola, księgarnie i inne instytucje zainteresowane ofertą specjalną zachęcamy do kontaktu z działem handlowym (marketing@wydawnictwodwiesiostry.pl, +48 577 888 278).



Pierwszy tom wciągającego
cyklu, w którym rzeczywistość
przenika się z magią, a przygoda
czeka za każdym zakrętem.
Jeśli porwał cię „Baśniobór” –
„Animarium” jest właśnie dla ciebie!

Kiedy twój przyjaciel zmienia się
w gołębia, a gadająca ćma oświadcza,
że masz do wykonania ważną misję,
w pierwszej chwili nie wiadomo, czy to
udar słoneczny, czy może początek czegoś
niesamowitego. Flora i Leo przeżyli razem
wiele przygód, ale ta wywraca ich świat
na drugą stronę. Czego chcą od nich
przybysze z Animarium, tajemniczej
krajiny, którą widzą tylko nieliczni?
I jak stawić czoła mrocznym siłom,
które bronią do niej wstępu?

Zaskakujące zwroty akcji,
humor i niepohamowana fantazja –
oto przed wami całkiem
nowy świat, a przygoda
właśnie się rozpoczyna!

ISBN 978-83-8150-725-7



9 788381 507257 >

wydawnictwodwiesiostry.pl